



Stanisław Bakalarz

Pożegnania i powroty

Wrzesień 1939 roku zastał mnie jako 8-letniego chłopca na Kielecczyźnie, a ściślej mówiąc w cegielni położonej o jakieś pół godziny drogi pieszo na północ od prowincjonalnego miasteczka Włoszczowy. O moje dzieciństwo wtedy uszy prawie co dnia obijało się to straszne słowo „wojna”. Nie schodziło ono z ust rodzicom, starszemu rodzeństwu, ani ludziom z okolicznych wiosek, którzy pracowali tu do ostatnich dni. Ale dla mnie słowo „wojna” niewiele znaczyło nawet w ten niezapomniany wieczór sierpniowy, kiedy to ojciec żegnał się z nami. Nie rozumiałem w ogóle, skąd taki nagły płacz w chacie, a potem milczenie. A już zupełnie nie pojmowałem zachowania się psa. Brylek był przecież pospolitym kundlem, uwalnianym z łańcucha tylko na noc albo na czas spaceru z ojcem, którego darzył szczególną sympatią. Gdy jego pan wyruszył na wojaczkę, psisko zgłupiało do reszty. Po nocach wył, za dnia skamlał, jadła prawie nie ruszał, a puszczonej czasem na wolność wpadał najpierw do izby, obwąchiwał to, co jeszcze po ojcu zostało, potem wybiegał na drogę wiodącą ku miastu i z nosem przy ziemi gonił jak szalony tam i z powrotem. Niekiedy gdzieś przepadał, a gdy wrócił z wywieszonym językiem wlaził osowiały do budy i nie pozwalał zbliżyć się nikomu.

Ja dopiero gdzieś po tygodniu zacząłem odczuwać brak drogiej mi osoby. Z początku szkoda mi było roweru, na którym ojciec pojechał. Rower nowiutki, a ja dopiero co nauczyłem się jeździć. Ale przestałem o nim myśleć, gdy pewnego ranka, tuż po wschodzie słońca, przyszło do cegielni dwóch polskich żołnierzy. Smutek ogarnął mnie wtedy głęboki. Pamiętam jak dziś, bo okazało się niebawem, że żaden z nich nie jest moim ojcem. Byli wygłodzeni i padali ze zmęczenia. Posiliwszy się trochę suchym chlebem i zalewajką odgrzaną przez matkę w wielkim pośpiechu, odpocząwszy nieco, zaczęli opowiadać. Pojąłem z tego tyle, że Niemcy już niedaleko i czynią z naszym wojskiem potworne rzeczy, a ich dwóch tylko z całego pułku ocalało i teraz oto muszą ratować się ucieczką jak najdalej od frontu, czyli na wschód. Z początku przypatrując się starszemu odnosiłem wrażenie, że to ojciec. Tak bardzo podobne do niego miał rysy twarzy, ten sam niby głos, wzrost, chód oraz niemal identyczny mundur. W dodatku jakoś dziwnie na mnie spoglądał. Chwalił się do matki, a może i prawdę mówił, że jego najmłodszy syn również ma osiem lat. Uświadomiłem sobie, że jednak to nie ojciec. Przyszedł pieszo i śpieszyło mu się okrutnie, by iść z towarzyszem niedoli jak najszybciej gdzieś daleko na wschód. Naszemu ojcu nigdy się nie śpieszyło! Jeszcze Brylek jak na złość szczekał bez przerwy. Na krótko przed wyjściem żołnierzy matka wzięła od młodszego rogatywkę, przyjrzała się jej uważnie, a po chwili rzekła do nas ze łzami w oczach:

– Patrzcie, moje dzieci i dobrze zapamiętajcie! To jest nasz polski orzeł. Coś mi się zdaje – dodała ciszej i łamanym głosem – że chyba nieprędko go znów zobaczymy.

Staliśmy później w progu i odprowadzaliśmy swoich gości w mundurach smutnym wzrokiem aż do miejsca, gdzie kończyła się droga, a zaczynał sosnowy lasek opromieniony blaskiem wrześniego słońca. Około południa napływać zaczęli ludzie jak gdyby z całego miasta i ze wszystkich okolic. Szli pojedynczo, w grupkach i z rodzinami. Każdy coś niósł w rękę i dźwigał na plecach jakiś toboł, albo pchał wózek przed sobą załadowany po brzegi. Chociaż w cegielni zawsze było do kogo zagadać, to teraz robiło się po prostu rojno, gwarno i trochę za ciasno. Najgłośniej dawały znać o sobie Żydówki z małymi dziećmi. Przybysze pozajmowali szopy, rozsiedli się w stodółce i w narzędziowni, niektórzy pokładli się nawet w rowach i zagłębieniach, tak że tylko głowy ich wystawały. Wolna do niedawna jedna z izb zdawała się pękać w szwach. Lada moment pokazać się miał także sam właściciel cegielni pan Szymon Gołuchowski, nazywany przez wszystkich „Dziedzicem”.

Lubiłem liczne towarzystwo, ale tego dnia było go trochę w nadmiarze. Jednakże gdy zebrała się gromadka dzieci i urządziła sobie gonitwę po całej cegielni, przyłączyłem się natychmiast. Nikt z dorosłych nie zwracał na nas większej uwagi, toteż i zabawy przeciągały się póty, póki się nie znudziły. W samą porę wykryliśmy dziurę w płocie. Brama wprawdzie też stała otworem, ale tutaj przejście – choć wąskie – miało posmak małej przygody. Poza tym widok szeroko rozciągających się pól i łąk zalanych słońcem kusił okrutnie, a niezbyt odległy las wciąż wabił zapachem sosnowego igliwia niesionym przez lekki wiatr. Ruszyliśmy więc naprzód. Zagony z kartoflami, zarosła trawą miedza, spłowieła ściernisko i znów miedza. Dalej droga, a na niej mnóstwo ludzi. Wszyscy ciągną do cegielni jak do oazy na pustyni. Wtem od strony miasta nadlatują dwa samoloty. Pierwszy zniża lot i wkrótce ukazuje się nad nami niczym olbrzymie czarne ptaszysko. Głośno warczy, dziwnie klekocze, robi gwałtownie zakręt i znika w słonecznej kurzawie. Porwał mnie nagle śmiech nie do opanowania, bo zobaczyłem, jak ci, co podążali drogą, pokładli się teraz, jakby ich drzemka napadła. Szczególnie zaś bawiło mnie to, że gdy w górze rozlegał się klekot, na polu i drodze robiło się tak, jakby ktoś nieustannie biegł i co krok wbijał coś twardego z całej siły i pogwizdywał z uciechy. Pękałem prawie ze śmiechu, a tymczasem z tyłu zbliżał się następny samolot, taki sam czarny, ogromny i lecący zupełnie nisko. Znów ogłuszający warkot, ruchomy cień na ziemi i jeszcze głośniejszy klekot nad naszymi głowami, jeszcze raz zakręt, uniesienie się w górę i cisza. Przez moment zdawało mi się, że ktoś krzyknął koło mnie i coś jakby upadło. Rozglądam się, patrzę, a to Chaja, starsza ode mnie Żydówka. Ona często lubiła sobie pokrzykiwać i to z byle jakiego powodu, a później śmiała się ze wszystkich. Ale teraz leży nieruchomo, z głową na miedzy, z twarzą ukrytą w trawie.

– Co się wygłupiasz, Chaja! – zawołał któryś z chłopców. Rusz się zaraz, mówię ci, bo...

– Uciekamy, a ty? – wołają inni.

A Chaja milczy i ani drgnie. Koło jej lewego ucha zbiera się strużka krwi, spływa powoli i bezszelestnie tworząc plamę, która przekształca się w niewielką kałużę. Zabarwia się ziemia i brudzi żółtą sukienkę. Po chwili zbiegają się ludzie. Powietrze rozdziera krzyk i płacz matczyny. Dziecko martwe niosą do zatłoczonej izby. I już po całej zabawie. Oj, Chaja i coś ty nam najlepszego uczyniła? Nie lepiej ci było siedzieć przy matce?

Następnego dnia w samo południe przyszedł znany mi z widzenia młodzian i Żydom, co się wokół niego zaraz zgromadzili, powiedział głową własną ręką i klnąc się na Mojżesza, że Niemcy Włoszczowę zajęli i na razie panuje spokój. W budynku szkolnym jest teraz wojskowy szpital, a tam, gdzie było Starostwo Powiatowe, urzędują żandarmi. Wszędzie pełno wojska. Gołuchowski, czyli pan „Dziedzic”, nie żyje.

– Kiedy Niemcy weszli do miasta i zaczęli szukać czegoś po kamienicach – mówił dalej ów młody człowiek – pan „Dziedzic” schował się na strychu i zejść ani myślał. Niemieckiego oficera musiało to mocno zdenerwować, bo dostrzegł go i strzelił akurat w takim momencie, kiedy ten zdecydował się w końcu opuścić niefortunną kryjówkę i jedną nogą dotykał już drabiny. A że on gruby i ciężki, a drabina wysoka, więc do podłogi był spory kawałek. To i sobie ładnie leciał! Ale jak on potem strasznie wyglądał! Oj, jak strasznie!

Cegielnia wkrótce zupełnie opustoszała. Żydzi wrócili do miasta, a robotnicy też przestali się pokazywać. Cegła pod szopami dawno wyschła, lecz nie miał kto zająć się jej wypalaniem. Przecież ojca nie było, a on to robił najlepiej. Gлина, którą dwa tygodnie temu z okładem pracowicie gromadzono w pobliżu motorowni, zdążyła pokryć się twardymi z wierzchu grudkami, a w wielu miejscach zazieleniła się nawet młodziutką trawą i dziwnie pojaśniała. Od czasu do czasu wrony siadały na dachach szop zdziwione nagłą pustką i ciszą.

Kilka dni siedziałem w izbie i obserwowałem przez okno drogę, czy ktoś przypadkiem nie podąży w naszym kierunku. Nadśluchiwałem uważnie, czy aby wśród ciszy nie rozlegnie się znów przeraźliwy warkot i złowieszczy klekot, od których na samo wspomnienie ciarki mi po plecach przechodziły i od razu jawiła się przed oczami ociekającą krwią głowa Chaji. Drogą nikt nie szedł, ani do uszu moich nie dochodziły żadne odgłosy prócz szumu drzew. Wychodzić z chaty nie miałem najmniejszej chęci. Bałem się. Jedzenie w ustach rosło, ochota na cokolwiek odeszła dawno i sny nocą stały się koszmarnie. Ale jak długo można było tak siedzieć, nie odzywając się do nikogo słowem, a wpatrując się w okno?

Matka, jak daleko byłem w stanie sięgnąć pamięcią, lubiła dzielić się wrażeniami, jakich doznała w młodości, kiedy to zaraz po wojnie polsko-bolszewickiej pracowała z ojcem gdzieś koło „Meklemburga” u zamożnych, ale jakże pocziwych Niemców. Tam urodziła się Wanda, czyli moja siostra. Chwaliła sobie niemiecką gospodarność, dbałość o porządek, nadzwyczajną uprzejmość wobec naszych rodaków, dla których w ojczyźnie nad Wisłą zabrakło pracy i chleba. Mówić dobrze po niemiecku nie umiała, ale rozumiała nie gorzej od ojca.

Pewnego popołudnia, gdy ciekawość wzięła górę nad strachem i niepewnością, wymknąłem się w tajemnicy przed matką i rodzeństwem i pobiegłem do miasta, żeby wreszcie zobaczyć tych Niemców na własne oczy. Słońce świeciło mi prosto w twarz i cisza była taka, że chwilami aż w uszach dzwoniło. Już za starymi topolami koło krzyża ujrzałem długi rząd ciemnozielonych samochodów ciągnący się wzdłuż drogi aż do pierwszych zabudowań oraz masę kręcących się żołnierzy. Zwolniłem kroku, bo choć pchała ciekawość, strach nieco hamował. Przyglądałem się uważnie. Nawet podobały mi się ich zielone mundury, ale po dłuższym namyśle stwierdziłem z przyjemnością i dumą, że polski mundur jest jednak o wiele ładniejszy, a i orzeł najprawdziwszy z orłów. Przypomnił mi się od razu ojciec w swoim przepięknym mundurze. Gdzie Niemcom do niego! Pierwszy też raz usłyszałem obcy mi zupełnie język, chociaż jako żywo ogromnie przypominał mi ujadanie naszego Brylka wieczorem, nie zaś mowę ludzką. Poczulem żal do matki, że po prostu zażartowała sobie z nas, opowiadając tyle dobrego o Niemcach. Toteż silniej niż kiedykolwiek odczułem potrzebę widzenia się z ojcem, by mu o tym zakomunikować. Widziałem nawet w myślach jego gniewne spojrzenie i wielce zakłopotaną minę matki.

Z samochodu nagle wyskoczył średnich lat żołnierz i dał mi znak ręką, żebym się zbliżył. Zajęty myślami o ojcu udawałem, że nic nie widzę. Podszedł sam do mnie i szczerząc białe zęby zaczął coś mówić. Jakoś nic absolutnie nie docierało do mojej świadomości. Niemiec wyjął z torby czekoladę i znów coś rzekł po swojemu. Czekoladę oczywiście przyjąłem, tyle że bez entuzjazmu i bez słowa podziękowania. Ojciec stał w mojej wyobraźni jak żywy. Czulem, że coś podchodzi mi aż do gardła, mocno ściska, aż oczy stają się wilgotne i zachodzą mi mgłą. Jeszcze chwila i buchnę płaczem. Żal, gniew straszny i wściekłość wzbierały we mnie z taką mocą, że zapomniawszy, iż stoję przed najeżdżącą palnąłem bez namysłu:

– Mój tata poszedł bić się z Niemcami i dzisiaj nie ma go w domu! Jestem z mamą, z bratem Władkiem, który kończy 15 lat. Jeszcze mam siostrę... Wanda ma na imię i idzie jej dopiero 13 rok. Oni też wszyscy pójdą na wojnę z Niemcami! Ja jeden na cegielni zostanę, bom za mały! A po waszemu gadać nie umiem i nie chce!

To powiedziawszy pokazałem na palcach, ile to nas w domu zostało, żeby Niemiec dobrze wiedział, z kim może mieć do czynienia.

– Ach, so – zawołał i sięgnawszy ponownie do torby wydobyl dwie czekolady, wcisnął mi je do ręki i znowu coś rzekł.

Zdębiałem. Widocznie nie zrozumiał mnie także. Po powrocie do domu nie od razu opowiedziałem, co zaszło. Ale gdy zaczęli mnie wypytywać skąd wracam, gdzie i z kim byłem tak długo bez wiedzy matki, kto dał mi aż trzy czekolady, nieprzywykły jeszcze do kłamstwa, zrelacjonowałem wszystko w detalach. Matka zbladła, Władek i Wanda na chwilę zaniemówili, a potem parsknęli śmiechem.

– Masz wielkie szczęście, głuptasie – rzekła później matka.

– A cóż to jest szczęście?

– To ogromny skarb, synu. Ale z Niemcami lepiej nie rozmawiać. Któregoś dnia szczęście może cię opuścić, a wtedy...

Samotne wycieczki do miasta zostały przez matkę zabronione. Po namyśle przyznałem jej rację i nawet doszedłem do wniosku, że nie mam czego żałować. Przecież Niemców już poznałem, ich mowę także, a bez czekolady mogę się ostatecznie obejść i to bez trudu. Tragicznej śmierci Chaji nie mogłem wymazać z pamięci, chociaż wcale nie kojarzyłem jej z Niemcami. Dopiero Władek uświadomił mi, że te czarne krzyże z białą obwódką, jakie widziałem wtedy na skrzydłach samolotu, musiały być również i na samochodach.

Ferdek Jędrasów – starszy ode mnie o niecały rok, zamieszkały od urodzenia na Zielonce we Włoszczowie, którego to matka ponoć podkochiwała się za młodu w moim ojcu i dlatego bocian przyniósł jej w upominku Janka – tłumaczył mi, że Śląsk, Poznańskie oraz północna część Polski zostały wcielone do Niemiec, zaś wschodnie obszary zabrał Stalin jako przyjaciel Hitlera. I mówił mi jeszcze, że centrum Polski, razem z Włoszczową oczywiście, to teraz nazywa się Generalne Gubernatorstwo. Wspominał też coś o łapankach i wyjaśniał mi nawet, na czym one polegały, ale nie rozumiałem z tego prawie ani słowa.

Najświeższych wiadomości z miasta, przeważnie smutnych i niejasnych dla mnie, dostarczali brat z siostrą. Władek, jak przystało na najstarszego z rodzeństwa, poczuł się odpowiedzialny za nasz los i najął się do pracy w piekarni u jakiegoś Żyda. Ten jednak wygonił go już po tygodniu za to, że braciszek w przesadnej trosce o rodzinę i do tego niewytrzymały na głód, zjadł świeżą bułkę na miejscu

i próbował ukryć za koszulą kawałek surowego ciasta. Jednak nie poskarżył się Niemcom, wiedząc dobrze, iż źle mogłoby się to skończyć również dla niego samego. Brat zapomniał szybko o zaistniałym incydencie, a w końcu października przyjął go do pracy pan Burcin w swojej wytwórni wód gazowanych w pobliżu szkoły zamienionej przez Niemców na szpital. Burcin znał ojca toteż, mocno wzruszony naszą sytuacją, nie tylko przyobiecał uczciwą zapłatę, ale pozwolił zabierać z sobą do domu parę butelek lemoniady. Wanda, która miała dopiero 12 wiosen za sobą, nie chcąc uchodzić za gorszą, udała się na służbę do Plebanków przy targowicy, gdzie stacjonowała konnica niemiecka.

Wiadomości wiadomościami, ale o wiele ważniejsze było to, że od czasu do czasu przynosili coś do domu: Wanda parę jajek, chleb i niekiedy mleko, Władek zaś parę groszy i lemoniadę. Raz nawet przyniósł butelkę piwa. Czasem nie zdążyli przed godziną policyjną do domu, ale ani matka, ani ja nie martwiliśmy się zbytnio, wiedząc że są u dobrych ludzi i Polaków.

W piątek 3 listopada, pamiętam jak dziś, wypadały moje dziewiąte urodziny. Matka wzruszona do głębi pocałowała mnie w czoło, coś rzekła o moich latach i padły jakieś życzenia, ale ja myślałam cały czas o Władku i Wandzie. Jakże inaczej! Oto wczoraj minął czwarty dzień, a ich jak nie było, tak nie ma. Obiecałam sobie solennie na okoliczność dziewiątych urodzin pociągnąć łyce piwa. Pierwszy raz w życiu. Wtem do uszu moich doleciał trzask furtki przy bramie, potem odgłosy kroków i zaraz stukanie do drzwi. Skoczyłem natychmiast jak wystrzelony z procy. To był tylko Jan Dudziński z Włoszczowy, znajomy, który pracował razem z ojcem w cegielni. Zawsze wesoly i uśmiechnięty, teraz zmieniony na twarzy, oczy pełne smutku, a sumiaste wąsy jakby wydłużone. Nie wszedł od razu, tylko przez uchylone drzwi do izby dawał jakieś znaki matce, że chciałby na osobności o czymś ważnym porozmawiać. Mama wyszła i długo jej nie było, a kiedy wróciła, cała była we łzach i drżała jak w febrze. Chwyła mnie w objęcia, mocno przytuliła i lkała nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Dudziński położył swoją ciężką dłoń na moim ramieniu i rzekł:

– Posłuchaj uważnie. Władek z Wandą są w Przygradowie. Wiesz, tam gdzie nasza ciotka Florka, twoja chrzestna mama. U niej zamieszkają. Będą pracować w krochmalni. Nie wiem jak długo. Tam im będzie lepiej i więcej zarobią. Potem przyjadą. Kazali cię pozdrowić i... – Dudziński przerwał nagle, bo głos mu się łamał.

Minął listopad i zaczął się grudzień. Rano przymrozki pokryły szacią drzewa, drogi, płoty i pola, a wieczorami prószył śnieg. Zamiast białego puchu wypatrzyłem pewnego dnia, szarego i wietrznego, całkiem wyładowany wóz, a przy nim gromadkę ludzi. Zdążyli do cegielni. Był to Zołma, zięć Gołuchowskiego, właściciela cegielni, z żoną i z siedmiorgiem dzieci w różnym wieku. Wjchawszy na podwórze, zaczęli znosić wszystko z wozu do sąsiedniej izby, którą od nas dzieliła malutka sień.

– Nie będziemy odtąd sami tu mieszkać – pomyślałem z uciechą.

Matka, wracając z miasta o zmierzchu zauważyła spory ruch wokół domu i zabudowań gospodarczych. Poznała Żydów od razu. Ledwie przekroczyła próg zawołała nie kryjąc gniewu:

– Licho jakieś tych Żydów przyniosło! Taka gromada!

– Razem dziewięcioro – dodałem.

– I jak oni pomieszczą się w tej jednej izbie, nie wiem.

– Pobożni, spokojni, zgodni... Nie będą nam dokuczać.

– Opaski mieli na rękawach? Takie z gwiazdą, bo ja nie zauważyłam. W mieście wszyscy Żydzi noszą teraz opaski.

– Tu cegielnia. Ich własność. Po co im opaski?

I rzeczywiście. Sąsiedzi zza ściany, niezupełnie nam obcy w końcu ludzie, którzy często spędzali tu wolny czas jeszcze za życia Gołuchowskiego, kiedy to cegielnia pracowała na pełnych obrotach, teraz nie mieli ochoty okazywać, kto tu rządzi. Traktowali nas jak równi równych i jak sąsiad sąsiada.

Tymczasem zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Przyznać muszę, że pierwszy raz nie czekałem na nie z radością jak kiedyś. Wiedziałem, że nie będzie ojca. Przeczucie podpowiadało mi po ostatniej wizycie Dudzińskiego, że także Władka i Wandy przy stole wigilijnym zabraknie. Zresztą jakież to specjały na tym stole mogą się znaleźć? Chleb czerstwy i ciemny, grzyby, kluski, barszcz. Przydałaby się choinka. Tylko co na niej zawiesić? Drzewkiem bożym zawsze zajmował się Władek, a przystrajała Wanda. Gwiazdki zrobione z papieru i kolorowej bibuły, anielski włos, wata imitująca śnieg – zachowały się w skrzyni od ubiegłych świąt, ale na nowe świece pieniędzy zabraknie. O cukierkach nie ma co marzyć. Paczek pod choinką nie ujrę. I to ma być Boże Narodzenie? Pozostają jeszcze kolędy, prawda, ale które z nas będzie miało na tyle siły, żeby je zanucić... Moje przewidywania spełniły się co do joty, a przeczucia nie zawiodły. Brata i siostry nie było, ojca również. W izbie był chłód, smutek, milczenie.

Nadszedł rok 1940. Z nim śnieg, który zawsze mnie cieszył, ale ten zaczął już sięgać płotów. Przyszedł też siarczysty mróz, a z nim bieda jeszcze większa. Nie mając ciepłego płaszcza ani porządnego butów musiałem siedzieć w izbie. Kiedy matka szła do miasta, by przynieść coś do jedzenia, ja udawałem się do sąsiadów zza ściany. Tam było ciepło i miałem do kogo zagadać, choć mama nieraz przestrzegала mnie, mówiąc:

– Z Żydówkami nie wchodź w żadne towarzystwo. Najlepiej ich unikać. Może się urodzić Antychryst. Będzie on jeździł po świecie z piecem ognistym i wrzucał do niego tych, którzy nie przyjmą jego wiary i nie będą mu posłuszni.

Przestrogi matki nie pomogły. Każdą wolną chwilę spędzałem z dziećmi Zołmy. Kiedy mróz dokuczał, siedzieliśmy w domu, bawiąc się i gawędząc. Starsi nie ingerowali. Widocznie jedno dziecko w domu więcej lub mniej w tak licznej rodzinie nie sprawiało im różnicy.

Święta Wielkanocne spędziłem tego roku w Przygradowie u ciotki Florki. Rodzina 15-osobowa zajmowała izbę w tzw. czworakach. Izba jak dwie nasze służyła za sypialnię, jadalnię i pokój gościnny. W razie niepogody była pokojem zabaw dla najmłodszych. Jedno chodziło do szkoły odległej o sześć kilometrów od Przygradowa. Najpierw ciotka spytała mnie, czy umiem pacierz i czy już uczę się w szkole.

– Nie chodzę – powiedziałem – bo Niemcy zajęli budynek na szpital wojskowy, a poza tym daleko. Gdy śniegi drogi zawieją, z cegielni do Włoszczowy można tylko przefrunąć. Mama nie ma pieniędzy dla mnie na płaszcz, buty i na zeszyty.

– To pewnie i nie umiesz czytać? – spytała jedna z dziewcząt. – Umiem czytać. Powinienem chodzić do drugiej klasy, ale...

– Ale co? Pewnie nie zdałeś?

– Właśnie że zdałem.

Cioteczna siostra imieniem Jadwiga, która była w kl. IV, podała mi gazetę i kazała przeczytać na głos. Tytuł napisany wielkimi literami brzmiał „Ilustrowany Kurier Codzienny”.

– Proklamation des Generalgouverneurs – przeczytałem głośno.

– Niżej, o tu, po polsku.

– „Proklamacja Gubernatora Generalnego”.

– Jeszcze niżej, tu – rzekła ciotka.

– „Führer Kanclerz Rzeszy Niemieckiej, Adolf Hitler, powierzył mi rozporządzeniem z dnia 12 października 1939 roku z ważnością od 26 października 1939 roku władzę Guberni Generalnej na zajętych obszarach polskich”.

– Wystarczy. Słyszeliście jak czyta? Łebski chłopak.

Odtąd musiałem każdego wieczoru czytać na głos książki i gazety swoim ciotecznym siostram. Książki były stare. Gazety także. W ciągu dnia często zaglądałem już dla własnej przyjemności do znalezionych w komorze „Bajek” braci Grimm i „W pustyni i w puszczy” Sienkiewicza, czy do „Starej baśni” Kraszewskiego. Czytając tę ostatnią zwróciłem uwagę na opisy przyrody. Zdawało mi się, że widzę okolice cegielni. Jakoś Przygradów nie pasował mi do niej. Tutaj domy długie, zwane czworakami, podobne do siebie niczym pudełka zapalek, tyle że z dachem, stojące równo po obu stronach pustej drogi. Jedynie wokół krzyża z kapliczką rosły krzaki bzu i stare topole wespół z lipami naprzeciw drewnianego dworku. Poza tym jak okiem sięgnąć pola pełne młodych kartofli, gdzieniegdzie łąny zbóż zielonych, nigdzie zaś lasu, stawu czy łąki kawałka.

U ciotki nie brakowało właściwie niczego. Mogłem zostać dłużej, gdyby nie tęsknota za matką i za... cegielnią. W dodatku ile razy pytałem o Władka i Wandę, zbywano mnie wzruszeniem ramion i milczeniem. Pewnego popołudnia zostawiwszy cioteczne siostry pod pozorem dalszego zwiedzania krochmalni, puściłem się boso w daleką, bo prawie 15-kilometrową drogę do samej Włoszczowy. Kiedy Dołowatkę zostawiłem za sobą i zbliżałem się do skrzyżowania koło Nieznanowic, usłyszałem za plecami warkot motoru. Przyspieszyłem kroku chcąc skryć się w przydrożnych krzakach, bo warkot ów przypominał mi wrześniową tragedię z ubiegłego roku. Motocykl minął mnie szybko, ale zaraz zatrzymał się w pewnej odległości. Siedzący na nim żołnierz niemiecki w dużych okularach obejrzał się i skinął na mnie. Ziemia pod moimi stopami zrobiła się miękka jak z waty. Strach obleciał mnie wielki. Niemiec czekał, po chwili ruszył do tyłu. Kiedy drząc cały na ciele zbliżyłem się, ten wskazał ręką na coś, co miało kształt małej łódki przyczepionej do tylnego koła. Przerażony wsiadłem.

– Włoszczowa, was? – spytał.

– Ja wohl – odpowiedziałem, bo tyle tylko umiałem po niemiecku. Niemiec przed szkołą zatrzymał się i kazał mi wysiadać. Odetchnąłem, gdy zniknął mi z oczu. Strach minął.

W domu matki nie zastałem. Na stole leżały dwa listy i kartka pocztowa. Jeden list w kształcie trójkąta i z napisem „Stalag” był od ojca. Pisany ołówkiem kopiowym i bardzo niewyraźnie. Ojciec pisał, że mu dobrze, jest zdrowy i prosi, żeby mu niczego nie wysyłać. Na stemplu data: 12 grudnia 1939. Drugi list był od Wandy. Wysłała go przed dwoma tygodniami aż z Bielefeldu. Donosiła nam, że pracuje u bauera na równi z dorosłymi. Ma co jeść i w co się ubrać. Zona bauera jest dla niej dobra. Dała jej pięć marek, żeby je nam wysłać. Na koniec życzy błogosławieństwa Bożego, mocno całuje i prosi o odpis na podany adres. Kartkę pocztową przysłał Władek z Breslau. Pisał: „... pracuję w dużym majątku przy koniach, jest mi dobrze. Napiszcie, co u was”.

– Oni w Niemczech? Jakim cudem tam się znaleźli – długo zachodziłem w głowę.

– W dniu twoich urodzin musieliśmy cię okłamać – wyjaśniła rzecz matka, wracając z workiem na plecach i nie wiadomo skąd. – Nie pojechali do żadnego Przygradowa. To żandarmi zrobili w mieście łapankę na ulicach i wszystkich wywieźli na roboty przymusowe. Taki sam los spotkał wielu z Włoszczowy. Naszych sąsiadów również. Zabrali Władka Purę, Stacha i Julka Jakubowskich, Anię Michałków...

– A co z ojcem? Co znaczy „Stalag”?

– To obóz jeniecki. Ojciec dostał się do niewoli. List szedł tak długo... Czytałeś?

– Czytałem po kilka razy... W list ojca nie wierzę. To przecież nie jego charakter pisma. Coś w tym musi być...

W jedną z niedziel na początku listopada 1943 roku matka, wybierając się w odwiedziny do krewnych, którzy więcej mieli dzieci niż hektarów, oznajmiła stanowczo, że tym razem nie zabierze mnie z sobą, bo na dworze pochłodziła. Bebelno daleko, a i wróci na pewno późnym wieczorem. Przyczajony do obecności kogoś z dorosłych, zwłaszcza matki, mający dotąd w pamięci twarz i gwar niedawny żydowskich dzieci, nie byłem w stanie znieść dłużej ciszy i samotności w opustoszałej zupełnie cegielni. Zaraz po wyjściu matki zamknąłem chatę i udałem się do Trawińskich, z którymi łączyła moich rodziców wielka przyjaźń. U Trawińskich, pamiętam, bywaliśmy często jeszcze przed wojną. Szło się do nich najpierw przez las, potem kawałek drogą, która do dziś wiedzie z Włoszczowy do Oleszna. Trawińscy mieli tylko 12 mórg ziemi marnej, ale aż czworo dzieci, lecz mimo to postawili sobie nowy dom naprzeciwko starej chałupy, z obszerną sienią, przestronną kuchnią i z dużym pokojem, tyle że w nim jeszcze na dobre nie zamieszkali, bo dom wymagał wykończenia. Dzieci miały dalej przemiłego Azora, podwórkę, sadzawkę, a za stodołą pastwiska i łąkę.

Słońce już było wysoko, więc przyspieszyłem kroku. Poganiała mnie ciekawość, jak też wygląda owa kuzynka, którą dwa albo i trzy tygodnie temu przywieźli ze Skalki i która miała u nich już na stałe pozostać. Zamierzałem też dowiedzieć się wreszcie całej prawdy o jej rzekomym cudownym ocaleniu. Kiedy znalazłem się na podwórku, zaraz mnie coś tknęło. Krowy zamknięte w oborze porykiwały, a przecież powinny paść się na pastwisku. Wszedłem do izby. Trawiński wyglądał strasznie. Błady, zarosnięty, włos mocno zmierzwiiony i oczy podpuchnięte, aż przykro było patrzeć. Jego żona miała prawy policzek spuchnięty i dużą siną plamę koło ust. Siedzieli milcząco na krawędzi łóżka, dzieci na ławie obok pochlipywały cichutko. Z zabawy nici – pomyślałem nie wiedząc, czy mam wracać czy zostać. Trawiński kazał nam wyjść na podwórze. Usiadłem na najniższym szczeblu drabinki opartej o dach komórki i też milczałem tak samo jak siedząca obok mnie na trawie Hela i jej kuzynka. Po dłuższej chwili niemego patrzenia przed siebie zapytałem Helę, która wydawała mi się zdutniejszą do rozmowy, co się stało.

– Przyszli Niemcy – mówiła wolno i jakby nie swoim głosem, bez przerwy tłumiąc łzy. – Najpierw Sergiusza bili, potem i Poldka. Kopali. Mama chciała bronić, Niemca za nogi obłapiła. Ten ją w twarz kopnął z całej siły. Tata tłumaczył, że chłopcy niczego nie szyli partyzantom. Byliby go zastrzelili. Skatowali tatę okrutnie. Chłopaków naszych pognali przed sobą do miasta. Zabili ich dzisiaj i zakopali na żydowskim cmentarzu...

– Oszaleli czy co? Ktoś musiał chyba Niemcom coś wypaplać głupiego!

– To sprawa Julka i Ohma.

– Znów ten „Krwawy Julek”. Że też nikt nie znalazł na niego sposobu. Ale Ohm? Ten z Biadaszka? To partyzanci go nie zabili? Słyszałem, że...

– Załukli go ludzie Marcina w lesie, kijami, jak wściekłego psa, ale to było później. Dzień wcześniej wracał z miasta dość pijany i kiedy mijał kapliczkę koło Klimasów zatoczył się i wpadł do rowu. Sergiusz z Poldkiem to widzieli, wyciągnęli go nawet z błota, ale on ich zapamiętał. Jak wytrzeźwiał nad ranem spostrzegł, że nie ma przy sobie spluwy. Na naszych Niemcom poskarżył. A pistolet mógł zgubić gdzieś po drodze wcześniej, co nie?

– Pewnie, że tak się stało. Ale Niemcy, którzy dzisiaj byli, niczego u was nie znaleźli, bo jakim cudem...

– Tacy nie muszą niczego znajdować, a swoje zrobią. Za co spalili żywcem Struskich, co? A Kitów? A nie wiesz przypadkiem, czego chcieli od całej rodziny Wandy? Wielkie szczęście i boska opatrzność, że znalazła się wtedy poza domem, w innej wiosce... Też spłonęłyby żywcem...

Wanda, czyli owa kuzynka Trawińskich, nie podobała mi się z powodu zadartego trochę noska i szpiczastej bródki, no i z tego jeszcze, że przewyższała mnie o głowę. Podobała mi się jedynie jej brązowa sukienka w kratkę, bo akurat taką miała na sobie moja siostra, kiedy to Niemcy wywieźli ją na przymusowe roboty. Wanda nie brała udziału w rozmowie i cały czas zdawała się być myślami daleko od nas. Ale kiedy Hela wspomniała o jej strasznych przeżyciach w Skalce, widziałem jak drży i z trudem wielkim opanowuje szloch. Wtedy przestałem myśleć o jej zadartym nosku, o szpiczastej bródce i nawet gotów byłem zrobić wszystko, żeby tylko przestała płakać.

– Ta znów się maże! – zawołała Hela. – Nie bez, mówię ci. Nie jesteś u obcych. Tu wszyscy są twoi...

– To Wanda jest teraz całutką sierotą – rzekłem poważnie.
– Bez nas byłaby samiuteńka jak palec.
– Ty zawsze wszystko wiesz najlepiej – rzekłem po namyśle. Z miejsca, na którym siedzieliśmy, widać już było zachodzące słońce. Przez chwilę przestaliśmy myśleć o rzeczach smutnych, rozmowa się przerwała, bo uwagę naszą przykuła niezwykła czerwień zachodu i przedziwna zmiana barw w otoczeniu.

– Słońce jak balia napełniona po brzegi krwią – zauważyła Hela.

– Dla wielu ten zachód może będzie ostatni – dodała Wanda.

W miarę jak słońce zaczynało dotykać czubków dalekich sosen, jak stopniowo pograżało się w ciemnościach, czułem jakiś niepokój wkradający się do serca, potężniejszy z minuty na minutę. Jedyna myśl, jaka mi towarzyszyła, to natychmiast wracać na cegielnię. Byle szybciej i jak najdalej z tego podwórka – powtarzało coś we mnie bez przerwy. A krwawe słońce opadało coraz niżej i niżej, aż zgasło. Błady księżyc zarysował się wyraźnie na niebie i zapanowała zupełna cisza. Wtem Azor, uwolniwszy się z łańcucha, zbliżył się do nas, siadł koło mnie, wciągnął nozdrzami chłodne powietrze, łeb podniósł do góry i zawył przeciągle raz i drugi. Hela mówiła coś o wilczej naturze psów, ale tego już nie słuchałem, bo włosy stanęły mi dęba i ciarki przeleciały po grzbiecie.

– Zimno ci? – spytała Hela.

– Nie – odparłem. – Czegoś się boję...

A w chwilę potem rwałem już przed siebie co sił w nogach. Biegłem przez las, potykałem się o wystające korzenie, padłem kilka razy, podnosiłem się i biegłem dalej. Azor wył jeszcze i to mnie popędzało. Odetchnąłem z ulgą, gdy zobaczyłem znajome stawy, dom i migocące światełko w oknie. Jest już mama – pomyślałem z uciechą.

Matka na mój widok podniosła się zaraz z klęczek, bo odmawiała widocznie wieczorną modlitwę, przyjrzała mi się pod światło lampy naftowej i powiedziała:

– Nie było cię w domu... A cały dzień myślałam o tobie, synu. Co tobie? Ktoś cię chyba nastraszył. Uciekałeś przed kim?

– Byłem u Trawińskich. Pies wyje i wyje... Boję się czegoś.

– Psy wyją nie bez powodu – powiedziała. – Idź do łóżka.

Bardzo źle spałem tej nocy. Słyszałem ciągle jakieś dziwne dźwięki, przypominające głos Heli i Wandy. I śniło mi się, że dotyka mnie nos długi jak ręka i szpiczasty, że Azor z Brylkiem wyją tuż za oknem. Usnąłem na krótko. Zerwałem się o świcie i pobiegłem do Trawińskich, żeby powiedzieć dziewczynom, jak to wczoraj, kiedy zachodziło słońce, bałem się czegoś okropnie, może wycia psa i dlatego szybko je opuściłem. W myślach układałem plan, co będziemy dziś robić, żeby Wandzi nie było smutno. Po drodze mijalem ludzi śpieszących w tym też co ja kierunku. A ponad drzewami, za którymi zagroda Trawińskich stać miała, widać wielkie kłęby dymu. To pewnie Hela już rozpalila ognisko – myślę. – Ale głupia dziewczyna! Dawno nie padało, wiatr spory, więc o pożar łatwo.

Ale to nie był zwyczajny ogień i nie Hela go wznieciła. Tam, gdzie stał nowy dom, sterczy teraz okopcony piec, a dookoła resztki dopalających się sprzętów. Obok jakieś części maszyny do szycia, a trochę dalej dostrzegłem przedmiot o kształcie niby kulistym, poszarpany, barwy ciemnobrunatnej. Unosił się z niego dym, jak sadza z kurzem zmieszana i o takim zapachu, od którego w nosie wierciło. W ustach rozplywała się słodkość zaprawiona solą i kwasem. O jakieś dwa kroki dalej czerniało też coś podobnego, tylko nieco mniejsze, ale dym szedł identyczny. O rozpacz! To były głowy ludzkie! Wlepiłem wzrok w ten makabryczny obraz, pierwszy raz widziany w życiu, lecz oczy wkrótce mgłą mi zaszyły, senność wzięła taka, że nogi ugięły się w kolanach, świat się zakolysał cały i zrobiło się ciemno. Słyszałem jeszcze jakieś głosy i czyjeś kroki koło siebie. Ktoś odciągnął mnie na bok, położył i chyba mówił nawet, że taki widok nie dla dzieci.

W kilka dni później dowiedziałem się od tych, co w ową noc z domów swych uciekły siedzieli w rowach lub polu do rana, że tamtego właśnie wieczoru, kiedy zachodziło słońce, a mnie strach tajemniczy pędził – Niemcy podążali ku Trawińskim. Było ich dziesięciu. Prowadził „Krwawy Julek”. Zagrodę oświetlili ze wszystkich stron, wypuścili bydło i konie na pastwisko. Potem słychać było krzyki ludzkie, jakby wołanie o ratunek, strzały i buchnął ogień. Pożar widziało wiele osób w mieście. Straż ogniową Niemcy zawrócili i sami trwali na miejscu póty, póki nie upewnili się, że z ludźmi spłonęło wszystko. Nie spaliła się tylko stodoła, bo stała dalej od ognia i wiatr wiał w przeciwnym kierunku. Uratował się Azor. Okulawiony, ślepy na jedno oko, okaleczony, z łańcuchem przyczepionym do przepalonego kawałka belki, wałęsał się długo po okolicy. Widziałem raz psa całkiem blisko. Pił wodę ze stawu koło cegielni. Na wołanie moje nie reagował z początku, ale mnie chyba w końcu musiał rozpoznać, bo popatrzył w moją stronę i wy dobył z siebie coś w rodzaju szczeknięcia lub cichego skomlenia. Potem powłókł się dalej. Jadła od nikogo nie przyjmował i od ludzi trzymał się z daleka. Na pastwisku, gdzie z dziećmi Trawińskich za bydłem uganiał, padł któregoś dnia z głodu i z wycieńczenia. Zakopaliśmy zwierzę w pobliżu pogorzelska.

Ziemią, stodołą i bydłem zaopiekowali się niebawem krewni. Na miejscu okrutnej zbrodni sąsiedzi umieścili drewniany krzyż. I znów o jeden dom mniej w sąsiedztwie i szczuplejsze grono znajomych. Co za los!

W maju lub na początku czerwca 1944 roku, w samo południe, kiedy z nieba żar lał się okrutny, a ja siedziałem nad jakimś rysunkiem, usłyszałem donośne „prrr” i zauważyłem, że zatrzymała się przed domem furmanka. Wyszedłem z izby.

– Matula w domu? – spytał zsiadając z wozu wysoki, barczysty chłop w kapeluszu, spod którego wystawało trochę włosów przyprószonych siwizną.

– W Bebelnie, a bo co? – odpowiedziałem niechętnie.

– Nazywam się Pyka. Znam dobrze matulę i ojca.

– Ale ja nic nie wiem o Py... Pyy...

– Matula ci wyjaśni – rzekł chłop udając spokój, choć ręce mu drżały. – Nie czas na gadanie... Przywiozłem ci Władka. Leży w wozie. Popatrz.

Wspiąłem się na palcach wysoko, jak tylko mogłem i pełen nieufności zaglądnąłem do wozu. Dziwny obraz ukazał się moim oczom. Oto na zgniecionej słomie, przykryty aż po szyję starymi kocami, leżał młody człowiek, który wzrostem i wyglądem mógł kojarzyć się z obrazem brata, utrwalonym w pamięci na parę dni przed łapanką. Te same jak gdyby włosy – ciemne, choć posklejane od potu. Ta sama niby twarz – okrągła jak u ojca, ale czerwona. Podobne usta, jak u matki, ale teraz suche i popękane. Na prawym policzku widoczna rana i oczy ciemne patrzące smutnie. Odchyliłem koc. Do pasa owinięty w szmaty przesiąknięte krwią. Lewa dłoń zaciśnięta, a na niej też ślady zakrzepłej krwi.

– Spadł wczoraj z drzewa prosto na kamień – tłumaczył Pyka głosem dziwnym i jakby nieswoim. – Potłukł się i źle z nim. A Niemcy wolą mieć zawsze zdrowych i silnych do roboty, więc wam go odesłali.

Wziął delikatnie chorego na ręce i jak niemowlaka poniósł do izby, tam położył do łóżka bez pytania, przykrył jednym kocem, a potem rzekł do mnie, patrząc mi prosto w oczy:

– Jeśli ty swojego brata choć trochę miłujesz, czuwać przy nim, dopóki nie wrócę z lekarzem.

Zostałem sam na sam z chorym. Bezradny, wystraszony, ale i z odrobiną nadziei, że brat na pewno wyzdrowieje, gdy tylko doktor Ziemski opatrzy mu rany i zapisze lekarstwa. Powoli radość wkradała się do serca i rosła. Jakże inaczej! Prawie cztery lata Władka nie było, a teraz jest obok. Chciałby przemówić, ale nie może, bo go jeszcze wszystko boli. Na pewno wie, że i ja mam wielką ochotę powiedzieć mu o wielu rzeczach i o wiele spraw spytać. Spytałbym na przykład o przebieg wypadku, o to, jak znalazł go Pyka. Skoro furmanką mógł przywieźć brata z Niemiec, to chyba te Niemcy muszą być niedaleko. Że został nam odesłany, nie wątpiłem. Wszak siostrę Stacha Michałka też Niemcy odesłali do Polski, bo się rozchorowała na płuca. Nie wiedziałem tylko, jak i czym wróciła do domu. Zmarła wkrótce, ale Władek nie umrze. Widziałem dokładnie, jak chory wodził oczyma po ścianach, patrzył w sufit to znów przyglądał mi się w milczeniu.

– Nie poznajesz izby. I słusznie – odezwałem się. – W tej to mieszkał Zołma z rodziną. Wiesz, zięć Gołuchowskiego. Aż dziewięćcioro! Dwa lata temu Niemcy wywieźli wszystkich Żydów z Włoszczowy. Ci poszli też na punkt zbiorczy koło kina. Mogli uciec w las, do partyzantów, ale nie chcieli. Po tygodniu przenieśliśmy się z małej izdebki obok i tak tu zostaliśmy. Niemcy od najbogatszych Żydów wzięli najpierw duży okup w pieniądzech i złocie. Ohm z Biadaszka miał rzec do Niemców: „Mają ich w obozie ograbić z kosztowności, zróbmy więc teraz to samo i podzielmy się.” Po likwidacji getta bogatych, co dali okup, zostawiono na razie w spokoju, ale za niecały tydzień w ich własnych domach powystrzelano jak kaczki. Mnóstwo rzeczy po nich zostało. Co lepsze zabrali Niemcy, resztę rozkradli niedobrzy ludzie. Cegielnę otrzymał w nagrodę Ohm i zaraz ją sprzedał. Dom zostawił. Józek Pura go wykupił wraz z polem. Chyba nas zechce wyrzucić. To jego. Nie powinien tego robić, prawda? Przecież to też Polak i w dodatku nasz najbliższy sąsiad... Ten Ohm, drań jeden, przeholował w kumaniu się z żandarmami, przeto chłopcy z lasu pomogli diabłom zabrać go do piekła. Niemcy zemścili się potem na Trawińskich, pałac ich żywcem. Spędzałem z dziećmi całe popołudnie, ale przed zapadnięciem zmroku dałem drapaka do domu, bo mnie jakiś strach dziwny obleciał. Przeczucie, czy co, sam nie wiem. Dzięki temu żyję. I cieszę się, że jesteś. A mama dopiero się ucieszy!

Spostrzegłem, że bratu oczy się kleją, przeto zamilkłem na moment, by nie przeszkadzać w zaśnięciu. Ten zaraz oczy znów otworzył i dalej patrzył na mnie, a ja zrozumiałem, iż rad słucha mojego monologu.

– Wanda pisała list przed miesiącem – kontynuowałem. – Pisała, że jest u innego bauera. Tamten był dla niej zły i bił ją z byle jakiego powodu. Uciekła w nocy. Tych teraz Niemców sobie chwali. Przysłała w liście 10 marek. Gdy jej odpiszemy, że przyjechałeś, uraduje się siostrzyczka, hej! O chorobie ani słowa...

Chory poruszył się i nie spuszczać ze mnie oka, co raz otwierał i zamykał usta, niczym ryba wyjęta z wody. Pochyliłem się nad nim, a wtedy usłyszałem słowo „pić”. Chwyciłem kubek, zaczerpnąłem wody z wiadra stojącego w kącie na niskim stołeczku i zamierzałem brata napić. Przedtem jednak należało unieść jego głowę tak, aby mógł się napić bez trudu. Moje wysiłki na nic się zdały, przysparzając tylko

więcej bólu cierpiącemu. Musiałem łyżeczką wlewać wodę do jego ust. Długo to trwało, ale grunt, że kubek do dna został opróżniony.

– Pewnie chce ci się także jeść, bracie, co? – zapytałem.

Chory uczynił ledwo zauważalny gest zaprzeczenia. Na wszelki wypadek, w razie gdyby bratu odmieniło się cokolwiek na lepsze, pokroiłem w plasterki resztki chleba czarnego jak ziemia, który z zakupów kartkowych nam pozostał, posmarowałem marmoladą i ułożywszy owe przysmaki okupacyjne na talerzu, czekałem sposobnej chwili, żeby Władka nakarmić. Póki co – myślałem – nie będę go zamięczał więcej gadaniem, tylko zagram coś na skrzypkach. Może i coś zaśpiewam. Słzy więc najpierw melodie matczyne. Jedną z nich, najbardziej przez matkę ulubioną, zaczynała się od słów „Wszystkieśmy się zeszyły kumratki, włoszczowianki”. Przyszła kolej i na piosenki żołnierskie, a te były ojcowe. Nie potrafiłem wszystkich śpiewać, bo oczy mi zaraz wilgotniały i w gardle coś okrutnie dławilo. Ojciec stawał w mojej wyobraźni jak żywy i spoglądał tak smutnie, jak wtedy, gdy żegnał się z nami idąc na wojnę.

W przerwach między melodiami z lubością przypatrywałem się bratu. Leżał nieruchomo, oczy miał dalej zamknięte, oddech równy. Odłożyłem skrzypce i wziąłem się za rozpalenie pod kuchnią, a później nastawiłem w garnku wodę, sądząc, że najprawdopodobniej okaże się ona konieczna doktorowi Ziemiemu, którego przybycia spodziewałem się lada moment. Co raz też wyglądałem przez okno na drogę, czy nie jedzie ku nam furmanka. Droga była pusta. Na dworze robiło się szaro, a w izbie ciemno. Niebawem zerwał się wiatr, który napędził chmur co niemiara i przyszła ulewa. Stary i nieszczelny dach znów nie wytrzymał. Miednica, garnki i wiadro, ustawione w miejscach najbardziej narażonych na przecieki, w parę minut napełniły się po brzegi. Deszcz nie padał dłużej niż z dwa kwadransy, ale dla mnie zdawał się trwać w nieskończoność. Brat spał. Kiedy wypogodziło się na dobre i zachodzące słońce zajrzało ciekawie do izby, przebudził się nagle i – o dziwo – próbował nawet usiąść. Daremnie. Zaraz opadł bezsilny, błądy i tylko coś szeptał.

– Za mną! – usłyszałem z trudem. – Tędy! Padnij!

Bratu śni się chyba wojna – pomyślałem. Podobnie jak mnie wczoraj. Ale była strzelanina. Po bitwie wschodziło czerwone słońce, leciały gołębie i wiał silny wiatr. Wtem dostrzegłem, jak bratu z ust rozchylonych sączy się krew. Dwa cieniutkie strumyki spływały na poduszkę. Strach, żal i rozpacz zwały się na mnie jak burza, uderzyły z całą mocą, że ani stać nie mogłem, a tym bardziej czynić cokolwiek. Przeraził mnie widok krwi. Usiadłem bezradny w sieni na progu i rozplakałem się głośno, chociaż miałem już 13 lat. Nawet nie zauważyłem, kiedy furmanka wjechała na podwórko.

– Krew! – wołałem krzycząc prawie. – Dużo krwi! On chyba umiera, umiera panie doktorze!

– Natychmiast do szpitala – zawyrokował Ziemiński, obejrzawszy chorego. – Ja tu niewiele mogę już pomóc. Stan ciężki.

Jakiś czas szedłem za wozem. Pyka i Ziemiński kazali mi wracać do domu. Wieczorem przyszła matka. Słuchała mojej opowieści, patrzyła na mnie nic nie mówiąc. Bardzo mnie to zdziwiło i ubodło. Jakże to – pomyślałem – przecież Władek to pierworodny syn, a mama milczy. Przecież on może umrzeć lada chwila.

– Nie martw się, synu – pocieszała. – On nie umrze... Tylko do Niemiec mogą go znów zabrać, kiedy wyzdrowieje zupełnie.

Sierpień 1944 roku, o ile mnie pamięć nie zawodzi, okazał się dla włoszczowskich gospodarzy równie łaskawy jak lipiec. Trwały dni ciepłe, prawie bezchmurne, z ledwo wyczuwalnym wiatrem, ale już bez większych upałów. Pola zaczęły rozbrzmiewać ludzkim gwarem, bo zboże, które dojrzało niemal w oczach, nie pozwalało dłużej zwlekać ze żniwami. Kto zaś nie miał co kosić, ten sam albo z rodziną opuszczał miasto o świcie i podążał piaszczystą drogą na północ, by tam, niedaleko cegielni, nad Mośka Ługiem, czy też koło Urbańskiego, dalej się babrać w błocie, póki zmierzch nie zapadnie. Toteż każdego dnia wokół stawów roilo się od ludzi, spoconych, brudnych, utrudzonych okrutnie wydobywaniem owego błota, nadawaniem mu przeróżnych kształtów, bądź układaniem podsuszonych nieco brył w stożkowate i różnej wielkości kozły. Każdy miał swoją parcelę, którą upatrzył sobie jeszcze na samym początku lata i potem pilnował jej niczym niezwykle dochodowego gospodarstwa. Parcela dawała tani opał każdemu, kto tylko miał cierpliwość, fizyczną krzepę, wyobraźnię i sporo wolnego czasu. Opał co prawda marny, bo ciepła z niego niewiele, ale zawsze małą izbę ogrzał i w ten sposób niejednej rodzinie włoszczowskiej pomógł dotrzeć do wiosny. Szczęśliwi ci, którzy mieszkali blisko lasu, tak jak ja z mamą, bo mogli jeszcze nabierać chrustu lub szyszek na podpałkę do torfu.

Nie zauważało się na torfowiskach biednych, bogatych czy wykształconych, a tym bardziej nie sposób było odgadnąć, kto wróg, a kto przyjaciel. Odnosiłem stale wrażenie, że tu każdemu przyświeca jeden niezwykle przyziemny cel: zrobić jak najwięcej kostek z torfowego błota, wysuszyć je i jak najszybciej zwieźć przed nadejściem deszczów.

Aby poznać torfiarzy bliżej, należało stać się jednym z nich, czyli posiadać działkę z błotem i co dzień, od rana do wieczora pokazywać, co człowiek potrafi bez względu na wiek. Nasza parcela znajdowała się o jakieś 200 m za domem, blisko pola Edwarda Marcinkowskiego i sąsiadowała

z paroma innymi parcelami. Dzięki temu właśnie zawarłem znajomość z torfiarzami, którzy byli w moim wieku, a mama – ze starszymi. Staliśmy się jednocześnie uczestnikami wydarzeń, jakie tu miały miejsce owego lata, mimowolnymi świadkami rozmów, zwierzeń bolesnych oraz odbiorcami wieści dobrych i złych.

– Jędrasom z Zielonki torf już całkiem wysechł – zauważyła matka. – A ich jak nie ma, tak nie ma.

– I nie będzie ani dziś, ani jutro – powiedział Dudziński.

– Cóż się stało, panie Janie?

– Niemcy przyszedli po Janka. Ktoś doniósł, że Janek przyjdzie z lasu odwiedzić rodziców. Niemcy nie zastali chłopca raz, drugi i trzeci. „Gdzie syn?” – pytają. Gerwazy im na to: „Nie wiem. Od tamtego czasu, gdyście mi go zabrali do obozu, nie widziałem syna na oczy. Przysięgam”. Szwabę, a było ich chyba z czterech, z Jędrzejową, wyprowadzają starego na podwórko i znów pytają: „Gdzie wasz syn?” Na to Gerwazy rozpiął koszulę, obnażył pierś i rzecze: „Ma zginąć on, młody, to już lepiej niech zginę ja, stary. Strzelajcie, byle celnie!” Niemiec wyjął z kabury rewolwer i strzelił dwukrotnie. Gerwazy padł martwy. A działo się to na oczach dzieci i żony... Jędrasy pewnie dotąd nie przyszli do siebie z rozpaczy.

– To Gerwazy nie żyje!? Ażeby ich...

– A nie żyje, nie. Janek zwał Niemcom raz z łapanki, a w ubiegłym roku z obozu prysnął i poszedł zaraz do lasu. Innego wyjścia nie miał. W czasie tegorocznych starć pod Kurzelowem z partyzantami Janek znów dostał się w łapy niemieckie. Do Włoszczowy jednak go nie dowieźli, bo im w drodze znów uciekł. Ponoć w nagrodę aż tysiąc marek obiecali dać temu, kto wskaże miejsce pobytu Janka. Więc ojciec musiał oddać życie za syna.

– Ojciec za syna, syn za ojca, brat za brata – rzekła poważnie matka. – Tak jest, panie Janie i tak już będzie, bo tak być u Polaków musi.

– Mówicie panie Dudziński, że po Janka Jędrasa przyszedli Niemcy z Jędrzejową? – spytał zdziwiony Stachu Michałek, od którego uczyłem się rysować i malować. – Jakim cudem? Gdzie Jędrzejów, gdzie Włoszczowa?

– Do akcji biorą posiłki z Jędrzejową i Radomia. Niemcy się mszczą, bo czują, co się święci. Front się zbliża. Mszczą się jeszcze za tę noc z 18 na 19 marca. Chłopcy Marcina wdarli się wtedy do miasta przed samą północą, opanowali młyn, wyłączyli prąd, zerwali połączenia telefoniczne i obstawili gniazdo gestapowców. Zwinęli też śliczną kelnerkę, co wysługiwała się Niemcom. Chyba nazywała się Poznańska. Chciała uciec, skoczyła z balkonu, ale prosto w ręce partyzantów. Wywieźli ślicznotkę do lasu i tam ją kropnęli.

– A „Krwawemu Julkowi” kiedyś nawet łeb ostrzygli – dodałem. – Puścili go jednak żywego.

– Musieli. Niemcy przecież ogłosili, że jeśli w mieście ich pupilkowi stanie się coś złego, wtedy zginie 10 niewinnych ludzi. Tylko w potyczce mogli go sprzątnąć. Na terenie miasta absolutnie. Czuję się więc bezpieczny.

– Ale szczęściar z niego!

– Wszystko do czasu... Tylko ilu on jeszcze naszych wygubi?

– Żeby tylko on jeden! Mało to mamy szpiclów? Przecież na Jamroza z Młynarskiej nie Julek Niemcom doniósł.

Jamroza znali torfiarze. Liczył sobie 25 lat. Żeby go źli ludzie przypadkiem nie rozpoznali, chodził zachlapany błotem i nosił czapkę z daszkiem odwróconym do tyłu. Od ubiegłej jesieni las przy torfowisku stał się dla niego domem. A cała historia zaczęła się wtedy, kiedy urodził mu się syn. Z tej to okazji obchodzono małą uroczystość, w czasie której szczęśliwy tata zaintonował pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła”. Ucho wroga przechadzającego się ulicą Młynarską usłyszało. Po Jamroza przyszedli Niemcy, ale go już nie zastali w izbie. Gości zaproszonych też już nie było. Jakiś dobry człek ostrzegł w porę. Gospodarz domu zrobił sobie w lesie taką kryjówkę, że ponoć i sam diabeł lepszej by nie wymyślił. Przetrwał jedną zimę, czekała go następna.

W jedną z niedziel natknąłem się na Jamroza siedzącego samotnie w rowie. Czekał na małżonkę, która dostarczała mu prowiant i przynosiła świeże wieści. Nie przyszła. A że wyraźnie tęsknił za ludźmi, przysiadłem się i rozpoczęliśmy pogawędkę jak młodszy braciszek ze starszym. Wtem z lasu od strony północnej, gdzie droga do Motyczna koło stawu zwanego Kiepkowice skręcała, wyszli Niemcy rozstawieni w tyralierkę i w dużych odstępach. Szli prosto na nas.

– Szwabę! – zawołałem wystraszony. – Co robimy?

– Spokojnie, chłopcze – rzekł jakby nic się nie stało. – Bierzmy się szybko za układanie torfu!

Torf leżał prawie przed nosem i jakby czekał na nasze ręce. Czuję, że wszystko we mnie się trzęsie, choć chciałem udawać odważnego. Rozmowy Niemców z każdą chwilą stawały się bardziej słyszalne i wyraźne, potem kroki i chrząst pod ich butami. Skóra na mnie cierpła i włos się jeżył, a pod moimi nogami zrobiło się dziwnie międko. Przeszli obok, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. Odetchnąłem z ulgą, gdy byli już daleko.

– Widzisz – powiedział spokojnie Jamróz. – Niemców nie wolno się bać. Jeśli na ich widok zaczniesz uciekać, zabiją cię jak psa. Będzie wkrótce trochę strzelaniny. Koło Stillera mają poligon od

ubiegłego roku. Dokładnie od maja, pamiętam. Wiesz, że pod Warszawą są Rosjanie? W Warszawie trwa powstanie, giną w nim tacy jak ty i jeszcze młodszy.

– To czemu Rosjanie nie pomagają powstańcom? – spytałem.

– Tego nie wiem – odparł. – A może i pomagają bić Niemców... Przyjdiesz jutro? Przyjdź to pogadamy... Jakos dziwnie samemu w lesie. Z drzewami rozmawiać się nie da.

Noc z 20 na 21 stycznia 1945 roku dla Niemców okupujących Włoszczowę okazała się ostatnią. Zostali zaskoczeni zupełnie. Rankiem miasto przedstawiało sobą makabryczny widok. Ulice zasłane masą trupów, pełno zabitych koni, rozbitych i spalonych samochodów i mnóstwo wszelakiej broni. Amunicja wałała się pod nogami. Dla włoszczowiaków niewątpliwie był to początek końca wojny i powód do nieopisanej radości, która i nam – mieszkających z dala od miasta w opustoszałej cegielni – udzielić się musiała. Cieszyliśmy się ogromnie, ale nie na długo.

W dwa tygodnie potem, kiedy to każdego dnia oczekiwaliśmy z drzeniem serca na powrót bliskich nam istot, przyszło do nas o zmierzchu dwóch uzbrojonych po zęby Niemców. Jeden był sierżantem piechoty, drugi sokistą. Wpadli do izby z bronią gotową do strzału. Upewniwszy się, że im nic nie grozi z naszej strony, postawili karabiny pod ścianą i poprosili o jedzenie. Sierżant chwycił surowy kartofel z wiadra i zaczął gryźć niczym świeżo zerwane z drzewa jabłko. Półprzytomna ze strachu matka napełniła szybko garnek kartoflami, zalała wodą i postawiła na blasze. Ja przykładałem co raz torfu i drzewa, żeby się lepiej paliło. Znałem już głód dobrze, ale tak zgłodniałych istot nie widziałem nigdy. Jedli ugotowane w łupinach ziemniaki jak największy przysmak, w absolutnej ciszy. Posiliwszy się, zaczęli rozmawiać. Matka, która rozumiała sporo po niemiecku, poszła do naszej dawnej izdebki i przyniosła trochę słomy, żeby niespodziewanym gościom zrobić skromne posłanie. Domyśliłem się, że będą tu nocować. Włos mi się zjeżył na głowie na samą myśl, że mogą zajrzeć Rosjanie. Niemcy mogą się poddać, albo i nie. Co wtedy?

Nie zmrzyłem tej nocy oka. Dniało, kiedy niemiecki sokista trącił mnie lekko i nakazał wstawać, by iść z nim do najbliższej wsi, gdzie mógłby zrzucić niebezpieczne okrycie i przebrać się w cywilne. Mama wiedziała, o co chodzi. Powstrzymać mnie nie mogła, choć łez nie kryła. Nie uszliśmy więcej niż pół kilometra laskiem, a tu na drodze jakby spod ziemi wyrosło kilku żołnierzy radzieckich. Młodzi chłopcy. Zobaczywszy nas, stanęli jak wryci i zaczęli chichotać. Kolejarz zbladł strasznie i trzęsąc się przywarł do mnie mocniej. Wyczułem w jego kieszeni dłoń, która przy czymś twardym i okrągłym manipulowała.

– Eta kto? – spytał starszy stopniem. – Wojennoplennyj?

– Wojennoplennyj – odpowiedziałem przygotowany na najgorsze.

– Wot i durak! – zawołał Rosjanin i nie przestając się chichotać machnął ręką.

Jeszcze kawałek lasku, pole i już początek wsi. Wskazałem na pierwszą z brzegu chałupę. Po kilku minutach zauważyłem, że idzie w moim kierunku jakieś biedaczysko. Nędzna czapka, wytarte na kolanach spodnie i kurtka dziurawa na plecach. To przebrany sokista. Wróciliśmy do domu bez przygód. Sierżant; pokazywał matce fotografie. Na jednej z nich była wieczerza wigilijna. Za stołem on, jego żona i dzieci. W głębi choinka. Sokista namawiał sierżanta, żeby ten razem z nim szedł dalej. Matka znalazła jakieś ciuchy po Żydach i chciała dać Niemcowi. Odmówił, wskazując na nogi. Nogi sierżanta miały kolor sino-granatowy i były mocno spuchnięte. Buta ubrać by nie mógł. Opowiadał matce, że jego oddział, którym dowodził, został otoczony przez Rosjan i wybity do nogi. On trzy doby stał w zamarzającej wodzie, skryty w zaroślach, dzięki czemu przetrwał. Ale z nogami koniec.

– Ruscy mogą tu wpaść – mówił – ale ja się nie poddam. Wszyscy możemy zginąć.

Kiedy sokista opuścił izbę i długo się nie pokazywał, sierżant zadumał się przez chwilę, popatrzył na nas, potem włożył na siebie płaszcz, karabin przewiesił przez ramię i też poszedł... w kapciach. Może w kwadrans potem usłyszeliśmy cichy, stłumiony, jakby pod ziemią jeden strzał. Wkrótce udałem się tam, gdzie rosły gęsto niskie sosny, obok małego wzgórką. O zgrozo! Sierżant leżał wsunięty między dwie sosny, z głową rozbity tak, że połowa w krwawych strzępach znalazła się rozrzucona między gałęziami. Leżał z lufą karabinu skierowaną w swoją stronę. Obok leżały zdjęcia, które nie tak dawno pokazywał w domu matce.

– Niemiec sam się zastrzelił – powiedziałem do matki.

Pod koniec maja 1945 roku, pamiętam jak dziś, wczesnym rankiem poczułem, jak ktoś usiłował mnie obudzić. Jeszcze oczu dobrze nie przetarłem, gdy chwyciły mnie czyjeś ręce i długo trzymały w uścisku. Wrócił z Niemiec mój brat, Władek! W dodatku cały i zdrowy!

– Spójrz, mamó, na swojego starszego syna – zawołałem pełen zachwytu, gdy już skończyły się pytania, powitalne okrzyki i gdy ochłonąłem z pierwszego wrażenia. – Ziemiński to naprawdę wspaniały lekarz. Ani jednego śladu po ranach...

– O czym on mówi? – spytał wiele zdziwiony brat.

– Widzisz – zaczęła matka – w ubiegłe lato partyzanci bili się z Niemcami pod Oleszmem calutką noc. Niemców natłukli masę. Naszych też zginęło paru i dużo było rannych. Gdy byłam w Bebelnie,

ktoś przywiózł rannego. Siedział ci przy nim, karmił, poił, opowiadał, przygrywał na skrzypcach, bo myślał, że to ty. Ziemiński przyjechał i zabrał z sobą. W szpitalu go jednak nie było.

– A więc to nie był Władek – stwierdziłem trochę zawiedziony. – Chłop mnie okłamał. Mama też nie potwierdziła, że to brat!

– Ależ nie, synu – oponowała matka. – To był też brat. Wszyscy jesteśmy dziećmi jednej matki, która zwie się Polska. Siedziałeś przy łóżu brata, synku mój...

Przed samymi żniwami tegoż roku wróciła z Niemiec siostra. Też cała, zdrowa, tylko trochę wyrosła. O ojcu słuch zginął.

Pod koniec sierpnia zdałem egzamin do I kl. gimnazjum, z polskiego i matematyki. Ustnie i pisemnie. Zacząłem nowy etap życia, powojennego tym razem dzieciństwa. Jeśli można to nazwać dzieciństwem. Byłem w istocie jeszcze dzieckiem, ale czułem się zupełnie dorosły. Nie tylko ja zresztą.